

TADEUSZ STYCZEŃ SDS

Lublin

ODPOWIEDZIALNOŚĆ W WYMIARZE INDYWIDUALNYM I SPOŁECZNYM*

Na temat: „Odpowiedzialność w wymiarze indywidualnym i społecznym” chciałbym spojrzeć nie poprzez okna jakiegoś określonego, z góry założonego systemu filozoficznego czy światopoglądowego, lecz tak zwyczajnie okiem człowieka z ulicy. Chciałbym w tym, co przedstawię, dać po prostu wyraz własnemu ELEMENTARNEMU DOŚWIADCZENIU CZŁOWIEKA: siebie samego i każdego drugiego. Człowiek JAWI SIĘ wobec mnie, każdy drugi i ja sam sobie, jako ktoś, kto jest zupełnie „inaczej” i zarazem „wyżej” aniżeli wszystko inne dokoła w tym widzialnym, otaczającym nas świecie. Czy tylko ja w taki sposób doświadczam człowieka? Nie sądzę. Żywię raczej przeświadczenie, że na gruncie tego samego doświadczenia człowieka spotykam się z wszystkimi obecnymi tu Słuchaczami, jako wyrazicielami i świadkami tego samego doświadczenia, niezależnie od tego, czy uprawiają filozofię profesjonalnie, czy też tylko „prywatnie” zastanawiają się nad tym, czego doświadczają w zetknięciu z drugimi i z samymi sobą. Nie taję, że chodzi mi tu głównie o jedno: o ujawnienie i wspólne przeżycie doświadczenia człowieka i przez to o złożenie wspólnego świadectwa prawdzie o godności człowieka, czyli o ŚWIADCZENIE CZŁOWIEKOWI OPARTE NA JEGO DOŚWIADCZENIU. Myślę, że pierwszym niejako celem i sensem naszego dzisiejszego spotkania jest raczej świadczenie temu naszemu wspólnemu doświadczeniu godności człowieka aniżeli potrzeba wzajemnego przekonywania siebie. Bywają wydarzenia, kiedy narasta niejako wewnętrzna potrzeba i moral-

* Jest to tekst odczytu wygłoszonego najpierw w ramach Tygodnia Filozoficznego 1981 r. w KUL, a później 22 XI 1981 r. w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Radomiu, w obecności uczestników historycznego już dzisiaj strajku okupacyjnego. Ostatnia część tej prelekcji, mającej charakter świadectwa filozofa złożonego w chwili dla jego złożenia zupełnie szczególnej, nie była dotąd jeszcze publikowana. Autor chciałby tym swoim wyznaniem złożyć hołd swemu Profesorowi, jednemu z Wielkich Mistrzów lubelskiej szkoły filozoficznej, i wyrazić Mu swą głęboką wdzięczność.

na konieczność składania takiego świadectwa lub staje się nawet imperatywem. Imperatywem chwili i miejsca.

W poniższych uwagach chciałbym przeprowadzić jeden tylko w zasadzie wątek zagadnienia odpowiedzialności: ukazać współzależność wzajemną odpowiedzialności za siebie z postawą czynnej solidarności, czyli odpowiedzialności za drugich. Chciałbym to uczynić w sposób możliwie prosty, choć nie upraszczający sprawy. I nie bez ambicji umocnienia Państwa i siebie samego raz jeszcze w przeświadczeniu, że chodzi w nim o sedno sprawy człowieka. Czy mi się to uda, już sami Państwo osądzą.

1. *Status quaestionis*

„Miłość to zakorzenione w «ja» poczucie odpowiedzialności za «ty»”. To oczywiście Martin Buber. Nie sądzę, bym się sprzeniewierzył uczynionej co dopiero zapowiedzi, cytując zdanie filozofa, który zresztą wcale nie chciał za filozofa uchodzić. Zdanie to traktuję tu jako zabieg „testujący” nasze własne doświadczenie. Czy jest tu jedna bodaj osoba, która by poczuła się zaskoczona próbą wyrażenia SENSU MIŁOŚCI W TERMINACH ODPOWIEDZIALNOŚCI ZA „TY”? Nie sądzę, by tu taka była. Nie sądzę też, by było tak tylko na skutek wpływu środowiska kulturowego, którego *ethos* wiąże nierozzerwalnie słowo „miłość” – przy całej jego wieloznaczności – z PRZYKAZANIEM miłości bliźniego, a więc z odpowiedzialnością za drugiego. Nie zamierzam tu jednak poddawać badaniu, w jakim stosunku pozostaje ciśnienie *ethosu* środowiska społeczno-kulturalnego na kształtowanie treści źródłowych doświadczeń moralnych. Chodzi mi tylko o artykulację pewnego jej wątku. Otóż, treści tych naszych doświadczeń zapewne nie sprzeciwia się, owszem, przyświadcza jej takie rozumienie miłości, które oznacza ni mniej, ni więcej, lecz właśnie ODPOWIEDŹ I NALEŻNĄ, I DANĄ „TY” PRZEZ „JA” TYLKO DLATEGO, ŻE „TY” JEST PO PROSTU „TY”, KIMŚ, A NIE CZYMŚ¹. W świetle tego doświadczenia nie widać wręcz, w jaki sposób można by było i wolno kogokolwiek wyłączyć z pola należącej mu od „ja” odpowiedzi. Miłość w TYM SENSIE przestałaby bowiem być po prostu sobą, gdyby się nie rozciągała na każde „ty” właśnie dlatego, że „ty” jest „ty”, gdyby więc nie miała wymiaru SPOŁECZNEGO, OWSZEM, UNIWERSALNIE SPOŁECZNEGO, gdyby – innymi słowy – nie

¹ Przyjęte tu podejście dla dokonania wglądu w istotę człowieka poprzez sumienie zostało zainspirowane metodą ujawniania istoty człowieka poprzez jego czyn. Tę ostatnią metodę stosuje Karol Wojtyła w dziele *Osoba i czyn* (Kraków 1969; ang. *The Acting Person*. Boston 1979; niem. *Person und Tat*. Freiburg in Br. 1981), analizując w nim również mechanizm powiązania czynu z sumieniem. Człowiek jako podmiot czynu i człowiek jako podmiot sumienia to ten sam człowiek, jakkolwiek ukazywany z nieco różnej perspektywy widzenia.

nakładają na „ja” i nie oznaczają obowiązku czynnej – na miarę możliwości „ja” – troski o to, by każdy z osobna i wszyscy razem mogli przede wszystkim w ogóle być, istnieć, oraz zachować swą identyczność, owszem, rozwinąć drzemiące w sobie możliwości i tak stać się w pełni sobą. Wtedy dopiero bowiem miłość JEST NALEŻNĄ IM ODPOWIEDZIĄ, odpowiedzią godną – czyli na miarę – tego, kim każdy drugi jest. Można odpowiedź tę dlatego nazwać także GODZIWĄ jako należną GODNOŚCI każdego drugiego. Godną tego, kto ją otrzymuje, i godną tego, kto ją okazuje. Miłość jako tego rodzaju ODPOWIEDZ NA DRUGIEGO nazywam tu – dlatego właśnie – ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ.

Słowo „odpowiedzialność” ma oczywiście niejedno znaczenie. Znaczenia, jakie temu słowu nadaje język potoczny, są jednak z sobą ściśle spokrewnione. Analizę niektórych z tych znaczeń przeprowadził R. Ingarden w studium *O odpowiedzialności*, do którego odsyłam bliżej zainteresowanych tą sprawą. My zatrzymamy się przy wyróżnionym wyżej znaczeniu². Na jego bowiem gruncie wyrasta – jak mi się wydaje – problem, który nas jakoś chyba również niepokoi. Jeśli mianowicie odpowiedzialność to inny tylko sposób wystowienia miłości jako postawy *par excellence* altruistycznej, czyli społecznie zorientowanej, to co będzie ze sprawą ODPOWIEDZIALNOŚCI ZA SAMEGO SIEBIE? Czy nie traktujemy jej jako sprawy spełnienia bądź niespełnienia swego powołania życiowego? W jakież jednak sposób pogodzić odpowiedzialność ZA INNYCH – w najszerszym znaczeniu słowa „inny”, czyli odpowiedzialność w WYMIARZE SPOŁECZNYM – z odpowiedzialnością w odniesieniu do własnego podmiotu, czyli z odpowiedzialnością w WYMIARZE INDYWIDUALNYM? Czy w szczególności miłość jako odpowiedzialność za drugich nie oznacza działania, które prowadzi do – lub nawet domaga się – niejako zawieszenia szans na własne samourzeczywistnienie? Czy ich wręcz nie przekreśla? Czy nie prowadzi wręcz do samozniszczenia?

Istotnie! Jezus Chrystus mówi najwyraźniej, że miłość oznacza decyzję na samozatratę. Sam też przyrównuje miłującego do kogoś, kto z powodu drugich rzuca siebie na obumarcie niczym ziarno w glebę: „Kto życie swe daje za przyjaciół swoich...” (J 15,13). I sam się staje tym ziarnem z wyboru („Wyniszczył samego siebie” – Flp 2,7(8)). A co wreszcie powiedzieć o „Judymach” i „Siłaczkach” dnia dziesiątego? Czy nie są to ofiary SAMOPOŚWIĘCENIA, „przekreślenia” siebie na rzecz innych? Czy już sam sens słowa „samoposwięcenie” nie czyni zbędnym dalszego roztrząsania problemu, wskazując wprost jego rozstrzygnięcie? Czy nie oznacza ono zaprzepaszczenia z wyboru swych własnych szans?

² Por. R. Ingarden. *Über die Verantwortung. Ihre ontischen Fundamente*. Stuttgart 1970 (pol. w: t e n Ź e. *Książeczka o człowieku*. Kraków 1973 s. 75-185).

Osobliwa jednak rzecz, autor *Miłości i odpowiedzialności* zna doskonale – nie tylko z Ewangelii – doświadczenie, któremu dano wyraz w metaforze ziarna. Jego *Znak sprzeciwu* to w dużej mierze analiza myśli św. Augustyna, że „miłości są tylko dwie: Miłość Boga aż do znieprawienia samego siebie...” (*De civitate Dei* 14,28). Czy to samo to już nie dość? Równocześnie przecież tenże sam autor – jakby niepomny świadectwa złożonego co dopiero wspomnianemu doświadczeniu – podkreśla myśl, że właśnie miłość, owszem, ona jest DROGĄ, i to drogą JEDYNĄ do... samourzeczywistnienia! I że przyjęcie rzetelne odpowiedzialności za swe samospełnienie wyrazić się może jedynie poprzez miłość. Tylko za jej pośrednictwem. Podkreśla to do tego stopnia, że się go nawet pomawia o eudajmonizm perfekcjonistyczny bardziej radykalny niż ten z *Etyki Nikomachejskiej*, czyli o pogląd dopuszczający posługiwanie się drugimi w celu samourzeczywistnienia. Czy tego zarzutu nie usprawiedliwia systematyczne posługiwanie się słowem „perfekcjoryzm”? Czyż miłość drugiego, potraktowana jako środek-droga do samourzeczywistnienia, jest jeszcze... miłością drugiego? Czy nie oznacza – czy nie musi oznaczać – POSŁUGIWANIA się drugim? Czy nie czyni zeń ŚRODKA do swego celu? Czy zatem odpowiedzialność za siebie z całą powagą potraktowana, troska o samospełnienie, nie musi popaść w kolizję z miłością, czyli odpowiedzialnością za drugich? Czy jedno nie wyklucza drugiego? Ale jeśli tak, to w jaki sposób może Jan Paweł II głosić z niezwykłą mocą coś, co jest proklamacją UNII obojga:

„Człowiek nie może żyć bez miłości. Człowiek pozostaje dla siebie istotą niezrozumiałą, jego życie jest pozbawione sensu, jeśli nie spotka się z Miłością, jeśli jej nie dotknie i nie uczyni w jakiś sposób swoją, jeśli nie znajdzie w niej żywego uczestnictwa” (RH II, 10)?

Przecież cokolwiek by nie znaczyło słowo „sens”, jednego nie może tu nie oznaczać: samospełnienia, samourzeczywistnienia. W JAKI SPOSÓB ZATEM WIĄŻE SIĘ ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA SIEBIE Z ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ ZA DRUGICH? Odpowiedzi na to pytanie trzeba szukać w rozwiązaniu problemu, który leży jeszcze głębiej: Czy rzeczywiście „człowiek pozostaje dla siebie istotą niezrozumiałą, a jego życie pozbawione sensu... jeśli nie znajdzie żywego uczestnictwa w miłości” (RH II, 10)? Czy istotnie człowieka jako człowieka nie można zrozumieć inaczej, jak tylko poprzez miłość? Czy bez odniesienia do miłości miałyby być nawet niemożliwa jego samoidentyfikacja? Problem stosunku odpowiedzialności za siebie do odpowiedzialności za drugich staje się zatem CENTRALNYM PROBLEMEM ANTROPOLOGII. I ZARAZEM... ETYKI. Nikogo zatem nie trzeba już chyba więcej przekonywać, jak bardzo problem odpowiedzialności jest problemem miłości, a ten z kolei problemem człowieka. Dlaczego E. Jewtuszenko może pytać, czy zaczął żyć ktoś, kto nie zaczął kochać? Problem miłości i odpowiedzialności trzeba zatem podejmować i rozwiązywać łącznie z problemem człowieka: KIM

WŁAŚCIWIE JESTEM: JA – CZŁOWIEK? Proponuję rozważenie tematu mojego wykładu w kontekście tego ostatniego pytania. Ale oto wyłania się znowu sprawa metody: Jak, w jaki sposób dotrzeć do istotnych pokładów ludzkiego bycia? Od jakiej strony patrzeć, co robić, by się sobie samemu możliwie najpełniej ujawnić? Proponuję sposób bodaj najprostszy i każdemu najbardziej bezpośrednio dostępny: sumienie. Czy w jego świetle rzeczywiście zobaczymy człowieka w całej jego głębi i pełni? Odpowiem na to pytanie pytaniem: Czy nasza wiedza o człowieku dosięgnęłaby w ogóle tego, kim w swej istocie jest człowiek, gdyby pominęła to źródło naszej samowiedzy, jakim jest sumienie? Kto wskaże „okno na świat człowieka” doskonalsze od tego?

2. *Sumienie samonakazem*

W polu naszego doświadczenia człowiek jawi się jako ktoś, kto jest podpadająco „inaczej” i „wyżej” niż wszystko inne poza nim. Z czym się to wiąże? Czy nie z jego „wnętrzem”? Czy nie z tym, że jedynie człowiek jawi się nam jako SAMORZĄDNY PODMIOT, czyli jako SAMOISTNE CENTRUM ŚWIADOMYCH I WOLNYCH, A ZARAZEM PRZEZ PRAWDĘ „OD WNĘTRZA” ZWIĄZANYCH POCZYNAŃ? Ów dodatek „przez prawdę «od wnętrza» związanych poczynań” nie może ująć naszej uwadze. Nasze życiowo doniosłe decyzje nie zapadają nigdy w jakiejś poznawczej próżni, lecz zawsze dokonywane są w świetle rozeznania sytuacji i własnego w niej miejsca. Rozeznanie to wyraża się NASZYM WŁASNYM SĄDEM „powiniennem to oto ...”

Nasze decyzje, wolne wybory, zjawiają się dopiero „potem”, już na dalszym niejako etapie, są wyrazem zajęcia przez nas stosunku – aktem woli, czynem – do tego, cośmy już WŁASNYM SĄDEM, czyli POZNAWCZO STWIERDZILI I UZNALI za wartościowe i godne afirmacji, wydając właśnie sąd „powiniennem ...” Nasz własny sąd „powiniennem” okazuje się zatem miejscem szczególnego styku poznania i wolności (wolnego działania), miejscem niejako wiązania wolności i przez to samo PUNKTEM SZCZEGÓLNEGO UJAWNIENIA SIĘ TEGO, KIM JEST „JA” JAKO WŁAŚCIWY PODMIOT TAKIEGO SĄDU. Dlatego ten właśnie sąd zasługuje na szczególną uwagę jako nieporównywalne z żadnym innym miejsce wglądu do istotnego wnętrza człowieka, czyli jako jedyne w swym rodzaju ŹRÓDŁO DOŚWIADCZENIA CZŁOWIEKA. Pozostańmy więc przy tym źródle.

Zauważmy naprzód, że MORALNIE może mnie cokolwiek obowiązywać tylko wtedy, gdy powinność ta staje się treścią mojego własnego sądu „powiniennem ...” W przeciwnym razie powinność się mnie po prostu wcale „nie ima”. Nie może się więc stać MORALNĄ powinnością. Aby taką się stała, musi się stać jakoś MOJĄ. Taką zaś może się stać jedynie wtedy, gdy zjawi się w mym pozna-

niu, w mej świadomości, czyli poprzez mój własny sąd „powiniennem ...” Sąd ten jest MOIM AKTEM, AKTEM MOJEGO „JA”. „Powiniennem ...” to jakby miejsce „podłączenia” powinności pod moje „ja” lub *vice versa* – miejsce „podłożenia” mojego „ja” pod powinność (*sub-iectio*, pod-miotowanie). Dokonuje się to właśnie moim własnym aktem. W tym właśnie akcie rozpoznajemy SUMIENIE.

Poprzez nie – niczym poprzez *medium quo* – spróbujmy wypatrzeć, kim jest jego podmiot: człowiek. Ze względu na swój charakter mój sąd „powiniennem ...” jest aktem *par excellence* NORMATYWNYM. Wyraża wszak skierowaną pod mym własnym adresem powinność spełnienia określonego czynu. Można go dlatego też nazwać NAKAZEM lub IMPERATYWEM i widzieć w nim analogię do aktów autorytetu PRAWODAWCZEGO, stanowiącego przepisy działania adresowane do każdego z poszczególna członka określonej społeczności: „Powinieneś ...!” Podobieństwo to nie może jednak przesłaniać istotnej różnicy. W wypadku sądu „powiniennem ...” chodzi bowiem o imperatyw skierowany – co prawda – DO PODMIOTU, lecz zarazem wychodzący OD PODMIOTU. Imperatyw jest tu autoimperatywem, samonakazem. Podmiot zaś równocześnie NAKAZOBIORCĄ I NAKAZODAWCĄ. „Powinieneś ...”, o które tu chodzi, nie przybrałoby w ogóle znamienia wiążącej podmiot powinności, gdyby nie było przekładalne na „powiniennem ...”, czyli gdyby nie wyraziło się w formie aktu, którego podmiotem osobowym – nie tylko w sensie gramatycznym – jest moje własne „ja”. Ja sam tedy jestem poniekąd – jako podmiot i autor tego aktu – MORALNYM PRAWODAWCĄ DLA SIEBIE. „Zawładnięcie” przez powinność moją osobą dokonuje się mocą aktu mej osoby. Zaprzeczyć temu można by tylko negując, że sumienie jest moim sądem „powiniennem ...” Oznaczałoby to nieliczenie się z oczywistościami doświadczenia. Powinność ta wiąże niewątpliwie mą wolność. Czy jednak jej wiązanie nie jest aktem SAMOZWIAZANIA? Aktem samouzależnienia się od siebie? Aktem samozależności?

Oto dlaczego postępując potem niezgodnie z sądem „powiniennem ...”, dokonuję – jak tego doświadczam – gwałtu nie tylko i nie przede wszystkim na swym sądzie, lecz w pierwszym rzędzie na sobie samym. Postępowanie takie stanowi pogwałcenie siebie, ponieważ gwałci samozależność. Jest to znowu rzeczywistość, której doświadczamy bezpośrednio na forum sumienia. „Ja” samym aktem wydania sądu „powiniennem ...” WRAŻA SIĘ weń niejako. Dlatego właśnie się też w NIM I PRZEZEŃ WYRAŻA i dlatego także zostaje potem tak bardzo wprost ugodzone w siebie swym kolejnym aktem wolności, gdy akt ten sprzeniewierza się sądowi „powiniennem ...”

Fakt, że powinność o tyle tylko staje się moralną powinnością, o ile stanowi treść mego własnego sądu „powiniennem ...”, ujawnia nam jednak również i to, czym jest ludzkie „ja”. Objawia właśnie jego podmiotową wsobność, samoistność. Objawia, czym jest ta podmiotowość jako podmiotowość takiego właśnie

– i tak nam danego – sądu. Objawia ją mianowicie jako SAMOZALEŻNOŚĆ. Objawia ją przy tym w warunkach osobliwych, bo w sytuacji wiązania wolności przez powinność. Jakby więc w warunkach zagrażających wolności. Ale właśnie SPOSÓB, w jaki powinność wiąże wolność, zarazem ją odsłania i osłania, czyli niejako zabezpiecza jej przestrzeń wewnętrzną. Równocześnie z tym powinność odsłania nam samo ludzkie „ja” jako PODMIOT, KTÓRY SAM ZALEŻY OD SIEBIE. Sumienie pozwala nam przez to zobaczyć niejako „od środka” wnętrze osobowe człowieka, czyli wejść w doświadczalny i przeżyciowy kontakt z tym, co znamy skądinąd – a w każdym razie możemy poznać – jako OSOBOWĄ SUBSTANCJALNOŚĆ człowieka, jako ludzkie *suppositum*.

Oto mamy więc też i poszukiwaną skrótową formułę człowieka, wyrażającą zwięźle rezultat naszej własnej samowiedzy, rezultat aktu samoidentyfikacji, wychodzący zresztą na jaw w dokonaniu odnośnego aktu-sądu „powiniennem ...” Poza tym się nie jawi, jakże więc miałyby być poznany? Gdzież tu jednak doszukać się w tej formule odniesienia do miłości, do odpowiedzialności za drugich? Czyżby więc – wbrew uczynionej wyżej zapowiedzi – udało się nam dokonać aktu samozrozumienia człowieka bez odniesienia do miłości? Czy zatem – co tylko innymi słowami to samo wyraża – nie można zbudować AN-TROPOLOGII NIEZALEŻNIE OD ETYKI?

3. Sumienie samoinformacją

Sumienie jako MÓJ sąd „powiniennem ...” jest aktem autoproklamacji – i zarazem ujawnienia – samozależności ludzkiego podmiotu osobowego. Jest nadto aktem jakby autokonstytucji „ja” przez „ja” w płaszczyźnie doświadczenia i przeżycia. Nigdzie indziej „ja” nie doświadcza i nie przeżywa tak jak tu właśnie swej własnej podmiotowości, czyli tego, że jest – i co to znaczy, że jest – samym sobą.

To samo sumienie to jednak równocześnie mój SĄD „powiniennem...”! To akt, którym podmiot sam OBWIESZCZA SOBIE PRAWDĘ – TYMŻE SAMYM AKTEM ODKRYWANĄ! O tyle tylko można zresztą zidentyfikować sumienie z nim samym i – sięgając do dna – podmiot sumienia z nim samym. Nie bylibyśmy w stanie wręcz uznać sądu „powiniennem ...” za SWÓJ akt inaczej, jak TYLKO PRZEZ TO, że aktem tym STWIERDZAMY – choćby w sposób tylko domniemany – ZASKAKUJĄCY NAS STAN RZECZY, czyli gdy swoim aktem WYRAŻAMY SWE UZNANIE DLA NIEZALEŻNEJ OD NAS PRAWDY. Stwierdzamy coś, co zniemacka zachodzi nam drogę. Innymi słowy, w swym akcie „powiniennem ...” musimy umieć zidentyfikować akt POZNANIA, SĄD właśnie, aby móc w ogóle zidentyfikować akt „powiniennem ...” z nim samym. W przeciwnym razie akt ten nie mógłby się w ogóle

stać i być aktem „ja”. „Ja” – innymi słowy – nie byłoby w stanie „podłożyć się” pod „powinieniem ...” jako „ja”, czyli zidentyfikować siebie – i niejako ukonstytuować – w roli jego podmiotu. Wszystko to ujawnia, że „ja” jest „ja” i umie się zidentyfikować jako „ja” dopiero i tylko jako „ja” ODNIESIONE DO PRAWDY, bądź też odniesione poprzez prawdę swego sądu do trans-subiektywnego stanu rzeczy, a więc jako PODMIOT RACJONALNY. Jest to więc samozależny podmiot, który jednak nie uaktywnia swej samozależności na poziomie poznania, czyli sądu, udzielając swej asercji dla „powinieniem ...” bez DOSTATECZNEJ RACJI i wyraźnie OKREŚLONEGO ADRESU – czyli proklamując absurd i bezsens. Więcej, nie jest w stanie w taki sposób uaktywnić swej samozależności, nie unicestwiając przez to samego siebie. Znaczy to, że wolność „ja” może – co prawda – przystać na absurd w wyborze działania, czyli jest w stanie aktem wyboru, czynem, zanegować to, co „ja” uznało aktem poznania, lecz wolność „ja” nie jest w stanie związać samą siebie absurdem w konstytuowaniu aktu poznania, jakim jest sąd „powinieniem ...” Jakkolwiek by więc rozległą nie była sfera irracjonalnych czy absurdałnych wręcz aktów wolnego wyboru ludzkiego „ja” w dziedzinie działania i jak dogłębnie by ona nie uwłaczała jego godności, jest ona w ogóle możliwa i zrozumiała tylko na gruncie rdzennej racjonalności ludzkiej wolności, czyli rdzennie racjonalnej wolności i podmiotowości ludzkiego „ja”. AUTENTYCZNA WOLNOŚĆ, CZYLI WŁAŚCIWA CZŁOWIEKOWI JAKO CZŁOWIEKOWI SAMOZALEŻNOŚĆ, KONSTYTUUJE SIĘ I UJAWNIA AKTAMI SAMOUZALEŻNIANIA SIĘ „JA” OD PRAWDY STWIERDZANEJ SWYMI WŁASNYMI SĄDAMI. Dopiero taka racjonalna samozależność ujawnia właściwą człowiekowi podmiotowość. Ona dopiero stanowi jego „dowód tożsamości” – jego „kartę rozpoznawczą”. Trudno tu nie przytoczyć w całości zwięzłej wypowiedzi autora *Osoby i czynu*: „Transcendencja osoby w czynie to nie tylko samozależność, zależność od swego «ja». Wchodzi w nią również moment zależności od prawdy – i moment ten ostatecznie kształtuje wolność. Nie realizuje się ona bowiem przez podporządkowanie sobie prawdy, ale przez podporządkowanie się prawdzie”. CZŁOWIEK WIĘC TO SAMOZALEŻNOŚĆ W SAMOUZALEŻNIANIU SIĘ OD PRAWDY. Oto co znaczy być ludzkim „ja”, ludzkim PODMIOTEM.

Taka dopiero samozależność określa kształt właściwej dla ludzkiego podmiotu SAMORZĄDNOŚCI, CZYLI AUTENTYCZNEJ AUTONOMII. Nie rządzi sam sobą i nie kieruje sobą ten, kto poddawałby sobie prawdę. Rządzi sobą i kieruje ten tylko, kto się rządzi i kieruje prawdą. Prawdą karmi się i żyje wolność człowieka. Stąd godzi w nią najskuteczniej to, co godzi w prawdę. Fałsz jest prążyć z niewoli, niewoli.

Prawda jednak „ima się” podmiotu tylko i zawsze poprzez jego WŁASNY sąd. W przypadku moralnego zobowiązania prawda – jak już widzieliśmy – wiąże podmiot właśnie „od wnętrza”, czyli jako prawda MOJEGO sądu „powinieniem ...”

W przeciwnym razie „nie imalaby się” mnie wcale i w ogóle nie mogła przedstawić i ujawnić wobec mnie jako powinność, która właśnie MNIE zobowiązuje do określonego działania, czyli jako autentycznie moralna powinność. Można zatem i trzeba NADAL powiedzieć, że powinność moralna obowiązuje mnie ZAWSZE I TYLKO, GDY (O ILE, JEŚLI) dana mi jest w MYM WŁASNYM SĄDZIE-AKCIE „powinieniem ...”, czyli jeśli ma postać SAMONAKAZU, AUTOIMPERATYWU, O ILE WIĘC zakorzenia się do końca w strukturze samozależności ludzkiego „ja”. Tym niemniej powinność moralna obowiązuje mnie NIE PRZEZ TO I NIE DLATEGO, że jest mi dana w MOIM sądzie-akcie, lecz DLATEGO, że mój sąd-akt jest właśnie aktem-SĄDEM, że jest (choćby tylko w sposób przez podmiot domniemany) aktem ujawnienia prawdy. Warunek KONIECZNY moralnej powinności nie stanowi jeszcze jej warunku WYSTARCZAJĄCEGO, a tym bardziej nie jest identyczny z jej dostateczną, tj. adekwatną – pod względem zarówno logicznym jak i ontologicznym – racją. Nawet „zawsze i tylko wtedy, gdy” nie jest tożsame z „dlatego że”.

Z tej perspektywy widać dopiero, w jakim co najwyżej sensie „ja” może uchodzić za swego własnego PRAWODAWCĘ MORALNEGO. Jest nim, owszem, jako AUTOR AKTU, którym jest jego sąd „powinieniem ...” Nie jest nim jednak nigdy – i być nie może – jako AUTOR PRAWDY aktu, którym jest jego sąd „powinieniem ...” Nie ustanawia bowiem prawdy, nie tworzy jej, lecz ją jedynie odkrywa i obwieszcza, wydobywając na jaw tylko to, co go obiektywnie zobowiązuje, chociaż czyni to sam dla siebie na zasadzie WYŁĄCZNEGO I NIEZASTĄPIONEGO ŹRÓDŁA bezpośredniej informacji, bezpośredniej INSTANCJI informującej. SAMONAKAZ moralny „ja”, autoimperatyw, nie przestając być autoimperatywem – zgodnie z tym, co sądził Kant – jest zarazem – wbrew temu, co twierdził Kant – SAMOINFORMACJĄ. I tylko pod postacią samoinformacji jest możliwy jako autoimperatyw. Samoinformacja sondująca ten szczególnie obszar, w jakim się tu znajdujemy, nie może nie przyjąć – zanurzwszy się w nim wystarczająco głęboko – formy samonakazu: „powinieniem ...” Dlaczego tak właśnie jest, zobaczymy na dalszym etapie eksploatacji zawartości sądu „powinieniem ...”

„Ja” zależy więc od siebie tylko i dopiero poprzez samouzależnienie się od prawdy swego sądu. I tak dopiero JEST – i umie się w ogóle zidentyfikować jako – „ja”. Dlatego właśnie samozależność znamionująca samoistną podmiotowość ludzkiego „ja” uzyskuje właściwy sobie kształt dopiero jako SAMOZALEŻNOŚĆ W SAMOZALEŻNIENIU SIĘ OD PRAWDY.

Nota bene, ujawnienie wewnętrznej struktury ludzkiego „ja”, czyli właściwej człowiekowi podmiotowości, jest zarazem – wstępnym co najmniej – ujawnieniem warunków, jakie musiałoby nieodzownie spełnić działanie pretendujące do tytułu „odpowiedzi” na „ja” czy też afirmacji „ja”: „odpowiedzi” danej czy to własnemu „ja”, czy też dawanej innym „ja”, o ile miałyby to być odpowiedź na miarę prawdy o tym, komu jest udzielona. Ujawnienie tej struktury ukazuje

też, w jaki sposób i z jakiej strony mogłaby ona być naruszona. Do tej sprawy wrócimy w dalszym ciągu naszych rozważań.

Dwuwymiarowa struktura wewnętrznego ludzkiego „ja” odślania się nam tedy poprzez dwuwymiarową strukturę „okna”, które przynależąc do tej struktury równocześnie nam ją objawia i umożliwia dokonanie jej oglądu. Chodzi o „okno”, jakim jest mój sąd „powiniennem ...”, który będąc MOIM sądem nie przestaje być moim SADEM. „Ja”, wydając sąd „powiniennem ...” POPRZEZ SIEBIE I DLA SIEBIE (samonakaz), objawia przez to swą samozależność. Ta samozależność objawia przecież z kolei zupełnie szczególny rys ludzkiego „ja”. „Ja”, które samo od siebie zależy, ujawnia ją jako zdolność WYKRACZANIA POZA SIEBIE w imię prawdy, bo TYLKO TAK może w ogóle OD SIEBIE zależeć, SOBĄ kierować, SOBĄ rządzić. Rysujące się tu swoiste „zdwojenie” w zdolności wykroczenia poza siebie nazwano TRANSCENDENCJĄ.

„Ja” wykraczając poza siebie nie wychodzi tu przecież poza swój własny świat, POZOSTAJE nadal w jego kręgu i obrębie. Owszem, aktem wykroczenia poza siebie określa i zakreśla właśnie, konstytuuje niejako i ujawnia ten swój swoisty świat, szczególnie swoiste prawo swego wewnętrznego świata, i „wyośabnia” go od innych światów, czyni swą podmiotowość podmiotowością swoistą „WSOBNĄ” I „NIEODSTĘPNĄ”, SAMOISTNĄ. Pozostając przy kategoriach przestrzennych, można by dlatego mówić, że tego rodzaju wykroczenie POZA SIEBIE przy równoczesnym dokonaniu tego aktu mocą swej wewnętrznej dynamiki uaktywnia życie osoby w obrębie jej własnego świata wewnętrznego jest równocześnie aktem wykroczenia jej PONAD SIEBIE. Można więc nazywać tego rodzaju transcendencję – towarzyszącą poprzedniej, poziomej – transcendencją pionową (K. Wojtyła).

„Ja” wydając sąd „powiniennem ...” poprzez siebie i dla siebie wydaje go przecież niejako „wezwane głosem” spoza siebie, czyli w IMIĘ STWIERDZANEJ TYMŻE SAMYM SADEM PRAWDY (samoinformacja). WZYWA I WYZYWA SIEBIE JEJ WEZWANIEM. Tenże sam sąd zatem ujawnia nam, że w samą wewnętrzną strukturę „ja”, w jego samoistną wsobność, wpisany jest moment zupełnie osobliwego znowu wykroczenia poza siebie. Jest to właśnie wychylenie się i otwarcie w STRONĘ PRAWDY, KTÓRA „PRZYCHODZI Z ZEWNĄTRZ”. Osobliwością już wyżej przez nas analizowaną jest to, iż „ja” ujawnia – czy wręcz konstytuuje – swą samozależność wtedy tylko i dopiero, gdy dokonuje aktu samouzależnienia się od prawdy swego sądu. Mówiąc obrazowo trzeba by się zatem wyrazić, że „ja” wtedy dopiero jest rzeczywiście sobą i pozostaje „u siebie” i „w sobie”, gdy wiążąc się (z) prawdą swego sądu, wychodzi poza siebie. Wychodzi w stronę tego, co zachodzi mu drogę. Nie wychodząc poza siebie w stronę prawdy, nie byłoby u siebie, nie byłoby też w stanie zidentyfikować siebie jako siebie. Mamy tu zatem znowu do czynienia ze swoistym „zdwojeniem”, określającym

wewnętrzną strukturę podmiotu sądu „powiniennem ...” Dla odróżnienia od poprzedniego „zdwojenia”, nazywanego wykraczaniem poza siebie lub ponad siebie czy też transcendencją pionową, można by w tym przypadku mówić o WYCHODZENIU POZA (Z) SIEBIE, CZYLI WŁAŚNIE O TRANSCENDENCJI POZIOMEJ (K.Wojtyła)³.

Tak oto w dwuwymiarowej strukturze mojego sądu „powiniennem ...” (MÓJ sąd „powiniennem ...” i mÓJ SĄD „powiniennem ...”) jawi się również dwuwymiarowość podmiotu tego sądu, czyli „ja” jako samoistna, wsobna podmiotowość (transcendencja pionowa), strukturalnie jednak otwarta, więcej, strukturalnie wezwana do wyjścia z siebie w stronę prawdy (transcendencja pozioma). Skoro więc nie można „ja” zidentyfikować jako „ja” bez ukazania „ja” jako WEZWANEGO (wezwanie w samowezwaniu) do wykroczenia z siebie w kierunku i w imię prawdy swego sądu, to w takim razie wszelkie dalsze próby identyfikacji „ja” winny się koncentrować na ukazywaniu warunków REALIZACJI tego wezwania. Bez tej bowiem realizacji „ja” nie osiąga STRUKTURALNIE niejako pisanej mu PEŁNI i tym samym CAŁKOWITEJ IDENTYCZNOŚCI Z SAMYM SOBĄ. Otóż wolność „ja”, która – jak już wyżej widzieliśmy – nie jest w stanie związać się nieprawdą, czyli uzależnić od absurdu w konstytuowaniu sądu „powiniennem ...”, może się „całkiem dobrze” wypowiedzieć aktem negacji prawdy uznanej wcześniej (to w końcu ta sama wolność!) sądem „powiniennem ...” Może, nie musi, może wybrać i może nie wybrać – gdy nie zechce – działania zgodnego z sądem „powiniennem ...”, w którego konstytuowaniu miała swój udział. Może – innymi słowy – działać antyracjonalnie z wyboru zaprzeczając swej rdzennej racjonalności i tym samym działać w kierunku diametralnie przeciwnym w stosunku do wezwania (w samowezwaniu!) „ja” ku swej pełni, czyli ku pełni swej tożsamości. Z tego to powodu wolność staje niejako w poprzek wszelkim próbom czy zabiegom zdefiniowania człowieka w taki sam sposób, jaki bywa z powodzeniem stosowany w odniesieniu do koni, kamieni czy drzew, a więc w sposób, który pretenduje do wysłowienia (pełni) IDENTYCZNOŚCI definiowanego przedmiotu z samym sobą. W tym bowiem wypadku trzeba by raczej powiedzieć, że ludzkie „ja” wymyka się właśnie próbom takiego – zrównującego ją z rzeczami – uprzedmiotowienia i – w tym ściśle znaczeniu! – definiowania. Nie znaczy to bynajmniej jednak, by zabiegi ukazujące ludzkie „ja” jako „ja” wezwane ku swej pełni miały być poznawczo bezwartościowe. Zwłaszcza, że jesteśmy przecież w stanie poznać, ku jakiej to pełni „ja” jest wezwane, co o tej pełni stanowi i jakie są warunki jej osiągnięcia. Gdyby tak nie było, nie wiedzielibyśmy w

³ Por. K. W o j t y ł a. *Miłość i odpowiedzialność*. Lublin 1960 (fr. *Amour et responsabilité*. Paris 1965; hiszp. *Amor y responsabilidad*. Madrid 1969; wł. *Amore e responsabilità*. Torino 1969; niem. *Liebe und Verantwortung*. München 1979).

ogóle nic o... wezwaniu. A przecież to właśnie „z wnętrza” tego wezwania: mojego sądu „POWINIENEM ...” wglądamy od początku w to „ja”, które w przedziwny sposób łączy w swoim „powinienem ...” głos tego wezwania ze swym własnym głosem. Wszystko, cośmy dotąd o „ja” mogli powiedzieć, powtórzyliśmy wszak tylko wsłuchując się w jego własny „głos o sobie”, w jego własny sąd „powinienem ...” W tym też sensie urasta ten sąd do rangi pierwszorzędno źródła i podstawy wiedzy o człowieku, do rangi „SŁOWA O CZŁOWIEKU” *par excellence*, ANTROPO-LOGII właśnie. Czy także do rangi „słowa o odpowiedzialności”?

4. Sumienie a samospelnienie

„Powinienem ...” wyłonione z samego wnętrza samozależności „ja” odsłania najgłębiej – bo „od samego źródła” – jego wewnętrzną konstytucję w akcie jego jakby samokonstytuowania się, UJAWNIAJĄC JĄ ZARAZEM JAKO NIEPEŁNĄ TAK DŁUGO, JAK DŁUGO „POWINIENEM ...” nie zostanie urzeczywistnione. „Powinienem” jest po prostu aktem, domagającym się dopełniającego go aktu. Już w tym punkcie naszej analizy musimy sobie z tego zdać sprawę, czyli zupełnie niezależnie od tego, jaką jeszcze dalszą treścią wypełni się analizowany dotąd mój sąd „powinienem ...” Wszak zdajemy sobie cały czas sprawę z tego, że jest to treść niekompletna, a trzy kropki umieszczone po słowie „powinienem” miały nam graficznie o tej niekompletności ciągle przypominać. Cokolwiek by nam jednak dalsza analiza w tym względzie jeszcze odsłoniła, będzie przecież tylko dopełnieniem dotychczasowych odkryć i budowaniem na ich fundamencie. Wypada się więc przy nim raz jeszcze zatrzymać, ponieważ znajdujemy się w punkcie analizy przełomowym.

Powinność ma swój sens wyłącznie przez relację do jej wypełnienia. Sens ten staje się szczególnie wyrazisty wówczas, gdy powinność przybiera postać samowezwania w akcie podmiotu, który jest zarazem jego sądem, aktem poznania i uznania prawdy, aktem, który przybiera właśnie językową postać „powinienem ...” Gdzież tu jednak ma być jakaś trudność? Cóż prostszego aniżeli spełnić to właśnie, co podmiot bez jakichkolwiek nacisków skądkolwiek obwieszcza sam sobie w akcie „powinienem ...”? Cóż prostszego aniżeli uczynić zadość wezwaniu do wyjścia z siebie w stronę prawdy swego sądu, skoro wezwanie to jest zarazem aktem samowezwania i w tej tylko postaci w ogóle do pomyślenia? Czyż nie chodzi tu o nic więcej, aniżeli jedynie o następny krok wolności „ja” ku pełni swej samoidentyfikacji, o akt końcowy w procesie konstytuowania samego siebie? Czyż PEŁNIA SAMOZALEŻNOŚCI „ja” – odkąd jej autentyczny kształt, kształt na miarę racjonalnego podmiotu, wyraża się w samoza-

leżności „ja” w samouzależnieniu siebie od prawdy swego własnego sądu „powiniennem ...” – może się wyrazić inaczej, aniżeli poprzez akt wolności „ja” SPEŁNIAJĄCY jego własny akt „powiniennem ...”? Czyż ten akt wolności jako czyn URZECZYWISTNIAJĄCY samowezwanie „ja” do tego właśnie czynu nie jest warunkiem samospełnienia „ja” jako „ja”? Czyż „ja” może nie wypowiedzieć czynem jako aktem wolnego wyboru „ostatniego słowa” temu wszystkiemu, w czym się w ogóle odnalazło i odkryło – owszem, poniekąd samo ukonstytuowało – jako „ja”? Czyż „ja” będąc samowezwaniem do wyjścia z siebie może spełnić siebie bez tego wyjścia z siebie? Bez swego wolnego „tak” czynem dla swego „tak” – czyli siebie samego – w swym sądzie „powiniennem ...”?

Rzecz w tym, że „ja” – jak to dobrze wiemy – może swemu „powiniennem ...” powiedzieć czynem „tak”, lecz wcale nie musi. W tym „może” tkwi cały dramat ludzkiego bytowania. Jego wielka szansa, okupiona jednak możliwością tragedii. „Ja” może również, jeśli zechce, powiedzieć swemu „powiniennem ...” także „nie” aktem wyboru, czynem. Będzie to TAKŻE akt wolności „ja”. Czy nie znaczy to, że „ja” MOŻE swą wolnością ograniczać swą wolność, czyli zniewalać siebie? Wymykać się swej samozależności od siebie? Czyli w końcu samemu sobie?

Na pierwszy rzut oka akt wyboru, poprzez który „ja” przeczy swemu „powiniennem ...”, zdaje się zwracać tylko przeciwko PRAWDZIE tego sądu, a poprzez nią przeciwko TREŚCI tego wszystkiego, czego prawda ta dotyczy. Nad tym, jaka to bliżej treść, czego lub kogo dotyczy, zastanowimy się jeszcze w dalszym ciągu naszej analizy. Ale już teraz wypada nam stwierdzić, że czegokolwiek by jeszcze „ja” w ten sposób nie negowało, neguje w pierwszym rzędzie swój WŁASNY AKT, jakim jest przecież jego własny sąd „powiniennem ...” Negując swój własny akt, „ja” przekreśla jednak tym samym podmiot tego aktu: samego siebie. Aby zaś ocenić, jak głęboko sięga akt tejże negacji, wystarczy sobie uprzytomnić, że w konstytuowaniu aktu „powiniennem ...” „ja” nie tylko odsłania samemu sobie swą indywidualność, ale ją wręcz konstytuuje! Niemożliwy jest dlatego akt negacji prawdy swego sądu „powiniennem ...” bez dokonania tym samym aktu dzieła AUTONEGACJI, czyli AUTODESTRUKCJI SWEJ WŁASNEJ PODMIOTOWEJ TOŻSAMOŚCI, ROZBICIA JEJ U SAMYCH KORZENI. Człowiek, konstytuując samego siebie jako samowezwanie do wyjścia z siebie w imię prawdy swego własnego sądu „powiniennem ...”, może spełnić siebie tylko wtedy, gdy czynem wolności wypowiada swe „ostateczne tak” temu wszystkiemu, co sam sobie o sobie oznajmił w akcie „powiniennem ...” Alternatywą dla tego „tak” musi być „nie”. *Tertium non datur*. Akt wstrzymania się od należytej decyzji jest wszak również... decyzją! Tak oto „ja” swym aktem „powiniennem ...” samo niejako wystawia swą wolność – a w niej siebie – na próbę wolności. Stawia ją w matni wyboru, który okazuje się wyborem swej pełni albo jej przekreślenia,

wyborem SAMOSPEŁNIANIA ALBO SAMOROZBICIA, samoidentyfikacji albo samodestrukcji.

Zarówno „tak”, jak i „nie” będzie zajęciem STANOWISKA PRZEZ SIEBIE WOBEC SIEBIE. Nie stnieje przy tym sprawa równie ważna dla „ja”, w której to zajęcie stanowiska przez „ja” wobec siebie byłoby równie dogłębną ODPOWIEDZIĄ „ja” udzieloną sobie i w której to zajęcie stanowiska przez „ja” wobec siebie rozstrzygałoby równie dogłębnie o LOSIE ODPOWIADAJĄCEGO. Żadna inna bowiem sprawa „ja” nie zahacza równie dogłębnie o dylemat samospełnienia albo samodestrukcji. Odpowiedź pierwsza to „tak” „ja” dla „ja”; to niejako zwieńczające słowo końcowe „ja” w dziele samoidentyfikacji, w dziele tworzenia swej pełni, samospełnienia. Odpowiedź druga to „nie” „ja” dla „ja”. Rzecz osobliwa, to „nie” jest odmową „ja” wyjścia z siebie proklamowanego swym własnym imperatywem „powiniennem ...” Rezultat tej odmowy jest teraz taki, że „nie” „ja” nie sytuuje się bynajmniej z zewnątrz w stosunku do całej wewnętrznej rzeczywistości „ja”, lecz ściśle w obrębie jego własnego wnętrza, zamykając je w sobie i równocześnie wprowadzając w nie strukturalny rozłam. Tę drugą odpowiedź „nie” „ja” dla „ja”, można więc równocześnie wyrazić zwrotem: „NIE” „JA” w „JA”. Okoliczność zaś, że temu ostaniemu można nadać graficzny zapis: „NIE” „JA” w „JA”, wydaje się przypadkiem, który „szczęśliwym trafem” pozwala bodaj najgłębiej oddać tragedię wolności, która zamykając się na prawdę nie może nie zniewolić przez to samej siebie. To tragedia wolności przekraczającej siebie... Tylko ona jest w stanie wprowadzić własną mocą w siebie element tak obcy sobie, wprowadzić „nie-ja” w samo wnętrze „ja”. Alienacja, wyobcowanie sięgające samych źródeł człowieczeństwa – jego wolności – to to właśnie. Jej przeciwieństwo to samospełnienie. Jest ono możliwe tylko na drodze WYJŚCIA Z SIEBIE. MOCĄ WOLNOŚCI, jej aktem. Lecz zarazem tylko BRAMĄ PRAWDY. Innego sposobu nie ma. Każdy inny musi nieuchronnie oznaczać SAMOROZBICIE W SAMOZAMKNIĘCIU.

Jesteśmy w samym sercu zagadnienia odpowiedzialności za siebie. Pozostając na gruncie intuicji języka potocznego, tylko pierwszą z dwu odpowiedzi możemy określić mianem działania odpowiedzialnego. Odpowiedź druga, negatywna, nazywana jest mianem działania NIEODPOWIEDZIALNEGO.

Ale język potoczny pozwala mówić również o ODPOWIEDZIALNOŚCI ZA DZIAŁANIE... NIEODPOWIEDZIALNE, o ponoszeniu odpowiedzialności – i to pełnej – nawet w przypadku działania świadczącego o „kompletnym” – czyli znowu... pełnym – „braku odpowiedzialności” (i wcale zwrotem tym nie myśli nikogo uniewinniać czy rozgrzeszać). Czy zatem całkowita wieloznaczność? Zapewne nie jednoznaczność. Ale może pokrewieństwo, analogia? Wyjaśnijmy...

Zarówno ODPOWIEDZIALNE, jak i NIEODPOWIEDZIALNE działanie w znaczeniu POZYTYWNEJ I NEGATYWNEJ odpowiedzi „ja” dla „ja” jest w końcu JAKĄŚ ODPOWIE-

DZIA. Jest mianowicie ZAJĘCIEM STOSUNKU „ja” czy POPRZEZ „ja” wobec... Zajęcie stosunku wyraża się tu w sposób anagazujący cały dynamizm woli „ja”, jego „ostatnie słowo”, akt wyboru, czyn. W niczym innym SWOIM „ja” nie jest dlatego tak „wrażone” i „wyrażone” jak w swoim czynie. Nic nie jest tak „jego” jak „jego czyn”. Tylko „ja” bowiem jest tym, kto sprawił, że czyn JEST (tym czynem) mogąc sprawić, by nie był (tym czynem). Nikt też nie jest w stanie wyřczyć „ja” w dokonaniu czynu spełnienia jego własnego „powiniemem ...” i nikt nie jest w stanie zabrać mu sprawstwa dokonanego czynu...

„Ja”, spełniając swe „powiniemem ...”, urzeczywistnia DOBRO, „WYNIKAJĄCE” z jego czynu, i wprowadza je w świat jako autor tego dobra. „Ja” negując aktem wolności swe „powiniemem ...”, urzeczywistnia ZŁO, „WYNIKAJĄCE” z jego czynu, i wprowadza je odtąd w świat jako autor tego zła. Odtąd JEST w świecie coś, CZEGO WINNO NIE BYĆ, jest tak zaś wyłącznie za sprawą tego, kto jako sprawca STOI ZA faktem zła.

„Ja”, spełniając swe „powiniemem ...”, spełnia jednak nade wszystko DOBRY CZYN, negując zaś swe „powiniemem ...”, urzeczywistnia ZŁY CZYN. Dobro czynu objawia sprawcę w dziele jako dobrego, zło czynu objawia sprawcę w dziele jako złego. Dobro czynu „WNIKA” w swego sprawcę i zło czynu „WNIKA” w swego sprawcę. Dobro czynu owocuje samospełnieniem, zło czynu rozbija jedność wewnętrzną sprawcy... „Owocuje” anty-spełnieniem.

W taki oto wieloraki sposób akt wolności ze wszystkim, co z niego „wynika” na zewnątrz działającego i co z niego „wnika” do wnętrza działającego, LICZY SIĘ NA WYŁĄCZNE KONTO DZIAŁAJĄCEGO jako autora i niewymienialnego sprawcy aktu. To „wszystko” to diametralnie przeciwstawne pary: dobro i zło, samospełnienie i samodestrukcja, uszczęśliwienie i rozpacz, chwała i hańba ZA CZYN DOKONANY. Odpowiedzialność w tym drugim znaczeniu jest więc raczej ODPOWIADANIEM ZA ODPOWIEDŹ zarówno pozytywną, jak i negatywną, odpowiedź udzieloną czynem, czyli przyjmowaniem na siebie sprawstwa i jego następstw. Język potoczny nie rozkłada jednak swych akcentów zgodnie z symetrią odpowiadającą tym przeciwstawieniom. Chwali ZA DOBRE działania i gani ZA ZŁE działania SPRAWCĘ, autora. Nie mówi jednak raczej o odpowiedzialności (lub jej ponoszeniu) za dobry czyn. Mówi o odpowiedzialności tylko za zły czyn, co jednak nie oznacza, by nie przypisywał autorowi czynu NA RÓWNI sprawstwa czynu tak dobrego, jak i złego. Wyczuwa się to wyraźnie w intuicji znaczeniowej słowa „poczytalność”, używanego niekiedy zamiennie ze słowem „odpowiedzialność” (np. przy ustalaniu stopnia odpowiedzialności). Wszak rozumiemy doskonale zwrot: „I poczytano mu to na chwałę”. Pokrewieństwo krewnych nie znosi istniejącej między nimi różnicy. „Odpowiedzialność ZA CZYN ...” jawi się wyraźnie jako coś różnego od – choć pokrewnego w stosunku do – odpowiedzialności za kogoś (przeciwstawianej nieodpowiedzialności). W znaczeniu tej

ostatniej dominuje moment wezwania „ja” do udzielenia POZYTYWNEJ ODPOWIEDZI względem „ja”. Czy tylko swego „ja”?

Pytanie to niepokoi nas od samego początku i inspiruje całą dotychczasową analizę. W tym miejscu poprzestańmy jednak na razie na stwierdzeniu zbieżności pomiędzy odpowiedzialnością jako wezwaniem do udzielenia pozytywnej odpowiedzi przez „ja” względem „ja” a jego własnym sądem „powiniennem ...” Wszak sąd ten coraz ewidentniej okazuje się niczym innym, jak tylko „oknem” ukazującym „ja” właściwego adresata tego sądu, adresata jako kogoś, komu od „ja” taka pozytywna, afirmatywna odpowiedź – w imię prawdy! – JEST NALEŻNA, adresata, z POWODU KTÓREGO ów sąd „powiniennem ...” stał się w ogóle możliwy i zarazem konieczny jako adekwatny wyraz SAMOAFIRMACJI „ja” w sprawie – jak widać – tak doniosłej dla „ja”, że PRAWDA O NIEJ musiała się wyrazić tak, jak się wyraża: SAMONAKAZEM, zaś stosunek „ja” do tej prawdy urasta do rangi „być albo nie być” samospełnienia. To „sprawa człowieka” właśnie...

Dramat człowieka, ujawniający się w tym, że swej wolności może on użyć do samozniewolenia, nie powinien nam wszakże przesłaniać na wskroś pozytywnej strony tego dramatu. Człowiek jest prawdziwym jego bohaterem. Człowiek może, wcale jednak nie musi, użyć swej wolności do samozniewolenia. Może, jeśli tylko zechce, użyć jej właśnie do samospełnienia, do ostatecznego „wyzwolenia «ja»”. Od niego wyłącznie zależy, czy wolności użyje do zaafirmowania prawdy swego sądu „powiniennem ...” czy też do jej zanegowania. Od niego zależy, czy użyje jej DO POTWIERDZENIA swej własnej wolności, już przecież zaangażowanej w konstytuowanie sądu „powiniennem ...”, czy też użyje jej wbrew temu, w czym się już zresztą najbardziej rdzennie zaangażowała i zmanifestowała jako wolność: w samouzależnieniu się od prawdy wbrew zniewoleniu przez fałsz. Stosunek wolności w akcie wyboru do aktu-sądu „powiniennem ...” stanowi zatem *sui generis* MOMENT OSTATECZNEJ PRÓBY WOLNOŚCI, „test prawdy” wolności człowieka *par excellence*, wykładnik autentycznej SAMORZĄDNOŚCI. Wszak rządzi sobą ten, kto rządzi się prawdą. Kieruje sam sobą i stanowi sam o sobie ten tylko, kto kieruje się prawdą. SAMORZĄDNOŚĆ OKAZUJE SIĘ I JEST PRAWDORZĄDNOŚCIĄ. Samorządności obcy jest wszelki fałsz, wszelka ANARCHIA, tj. wola nieliczenia się z prawdą. Taka „wolna” wola, mimo pozorów niezależności, jest samouzależnieniem się od nieprawdy, jest samopoddaniem się w niewolę fałszu, jest samozniewoleniem przez błąd. Zamiast o wolności trzeba by tu więc mówić o gwałcie „ja” dokonanym na swej wolności, czyli w końcu na sobie, a więc raczej o samowoli lub swawoli. Nic nie jest dlatego bardziej bliskie samorządności od uważnego wsłuchiwania się w głos prawdy. Prawda „jest przednią strażą” wolności. Ona też stoi na straży samorządności i samospełnienia. Wszystko, co w prawdę godzi, nie może nie godzić w samą wolność...

Oto dlaczego i rządzący innymi rządzi, a nie dyktuje czy dyryguje, gdy rządzi się prawdą. Prawdą o tym przede wszystkim, kim jest „rządzony” i o tym, bez czego nie mógłby się spełnić, czyli STAĆ SIĘ W PEŁNI SOBĄ. Rządca jest rządcą, o ile staje w służbie samospełnienia tych, nad którymi sprawuje władzę czy raczej pieczę. Zadaniem prawa jest określenie prawdy o warunkach samospełnienia. Respekt rządzącego dla prawdy o dobru rządzonych wyraża się w respektowaniu prawa, czyli praworządności. PRAWORZĄDNOŚĆ JEST DLATEGO INNYM TYLKO IMIENIEM PRAWDORZĄDNOŚCI. Nic nie jest więc tak przeciwne praworządności i obce jak kłamstwo i wszelka przemoc. Praworządność rządzącego wsłuchuje się w prawdę i podejmuje trud przekonania rządzonych do prawdy pamiętając, że „ja” jest samozależnością w samouzależnianiu się od prawdy SWYCH SĄDÓW. Informacja może bowiem przechodzić w samonakaz tylko w postaci samoinformacji. Przemoc i anarchia są na równi wrogami prawdy. W prawdorządności łączą się z sobą samorządność z praworządnością, ład jednostki z ładem społecznym.

W obszarze wezwania wykreślonym przez własny sąd „powiniemem ...” unaocznia się najwyraźniej moc podmiotu ludzkiego. Moc stanowienia aktów wolności *par excellence*, która okazuje się w ostatecznym wymiarze mocą stanowienia o sobie samym, mocą SAMOSTANOWIENIA. „Ja” tutaj głównie okazuje się kowalem swego losu. Tutaj określają się także do końca i weryfikują kontury jego samorządności i krystalizują ostateczne granice odpowiedzialności za swe czyny i – poprzez nie – odpowiedzialności za samego siebie, za swe spełnienie lub niespełnienie. Ta oto moc stanowi o podmiotowości samorządnego i odpowiedzialnego za siebie samego podmiotu-sprawcy. Dzięki niej dopiero człowiek naprawdę rządzi samym sobą, kierując się w swych decyzjach prawdą swych własnych sądów. Dzięki też niej właściwa autonomia przybiera ostatecznie kształt odpowiedzialnego SAMOSTEROWANIA SOBĄ W ŚWIETLE PRAWDY, kształt AUTOTELEOLOGII. Dzięki niej człowiek JEST – i staje się – sobą: jest w stanie urzeczywistniać POZNANE przez siebie i UZNANE przez siebie ZA PRAWDZIWIE GODNE SIEBIE CELE DZIAŁANIA. Samospełnienie jawi się w tym układzie jako WŁAŚCIWY cel samorządności, człowiek zaś jako istota odpowiedzialna za siebie, czyli autonomiczna w kierowaniu się ku prawdziwie godnym siebie celom i wezwana samowezwaniem ku urzeczywistnieniu prawdziwie godnych siebie celów. Oto co znaczy być SAMORZĄDNYM PODMIOTEM.

Czy być nim znaczy to samo, co być po prostu człowiekiem? Jeśli tak, to nie może nas w dalszym ciągu nie nękać wyjściowy niepokój. Brak nadal w tej „formule człowieka” wyraźnego odniesienia do drugiego, do innych. I do odpowiedzialności za innych. Brak odniesienia do miłości. A przecież – wedle wstępnej zapowiedzi – człowiek miał być istotą niezrozumiałą wręcz dla samego siebie bez odniesienia do – drugiego w – miłości...

Pamiętając o tych wszystkich zastrzeżeniach, nie możemy zapomnieć, że ten „brak” został w naszej dotychczasowej analizie poniekąd z góry przewidziany w celowo niekompletnej formule „mojego sądu «powiniem ...»” Pora nadeszła, aby ją wypełnić. Przedtem jednak dokonajmy raz jeszcze małego podsumowania.

Wszystkie ujawnione dotąd właściwości CZŁOWIEKA JAKO SAMORZĄDNEGO PODMIOTU ukazują go jako ISTOTĘ NIEZWYKŁĄ, OWSZEM, ZUPEŁNIE WYJĄTKOWĄ w otaczającym nas ŚWIECIE MATERIALNYM, i mimo całego zewnętrznego podobieństwa do niektórych przedstawicieli tego świata, choćby do tzw. naczelnych, istotę zupełnie do nich w gruncie rzeczy niepodobną, NIEPRZYRÓWNYWALNĄ do nich, całkowicie od nich – właśnie przez ukazane „wnętrze” – INNĄ, pośród nich „samotną”, w swym „wy-osobnieniu” OSOBNĄ. Czy nie tę osobność człowieka w świecie chce uwydatnić słowo „osoba”? Czy w jego znaczeniu nie zawiera się właśnie owo „INACZEJ” od wszystkiego innego w materialnym świecie i „WYŻEJ” ponad wszystko inne w materialnym świecie, „inaczej i wyżej” „JA” JAKO SAMORZĄDNEGO PODMIOTU? Św. Tomasz powie wręcz: „ALIQUID PERFECTISSIMUM IN ENTIBUS”, by potem raz jeszcze wyrazić zdumienie nad „ja” w lapidarnym „INEFFABILIS!” Czy odkrycie pośród tego świata – pośród i mimo całego spłotu działających w nim zależności i uwarunkowań – SAMORZĄDNEGO PODMIOTU, kogoś, kto jest *SUI IURIS*, nie jest współodkryciem jego niezwykłej, niezrównanej i nieporównywalnej z czymkolwiek RANGI w tym świecie, rangi KOGOŚ, rangi, która domaga się zaznaczenia jej osobnym, czyli tylko osobie przysługującym słowem? GODNOŚĆ jest tym słowem właśnie. Doskonale współdzwięczy z nim zapomniane już w dużej mierze polskie słowo „godny”. I jakże zdumiewająco z nim – już w samym dźwięku – spokrewnione słowo „godziwy”! Samorządny podmiot, którego ranga i wartość wyraża się słowami „osoba” i „godność”, „godność osoby”, „godność samorządnego podmiotu...” Czy nie jest to owa poszukiwana przez nas „karta rozpoznawcza” człowieka? Zdziwienie jednak i niepokój może wzbudzać, że na tej karcie dalej jakby nie widać miejsca na MIŁOŚĆ ROZUMIANĄ JAKO WSPÓŁODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA INNYCH W CHARAKTERZE ELEMENTU WSPÓŁDEFINIUJĄCEGO CZŁOWIEKA JAKO CZŁOWIEKA, na miłość jako warunek samoidentyfikacji i samozrozumienia „ja” przez „ja”, warunek samospełnienia. Więcej nawet, niektóre elementy tej karty sugerować mogą wręcz wniosek, że człowiek uzyskuje pełnię swej tożsamości jakoby tylko wówczas, gdy całą moc swego samorządnego sprawstwa odda w służbę jednej jedynej sprawie: sprawie odpowiedzialności za samego siebie. Człowiek w tej perspektywie to TROSKA O SAMOSPEŁNIENIE ... To SAMO-TROSKA. Czy nie oznacza to zamknięcia się w sobie i odcięcia od odpowiedzialności za innych troską o samego siebie? Czy droga do samozrozumienia człowieka i do jego samo-

spełnienia nie prowadzi więc raczej poprzez antypody miłości określonej jako „zakorzenione w «ja» poczucie odpowiedzialności za «ty»”?

5. *Sumienie a uczestnictwo*

W tym właśnie miejscu musimy sobie zadać decydujące pytanie: CZEGÓZ to dotyczy dokładnie prawda mojego sądu „powiniennem ...”? Jakiej MATERII, jakiej TREŚCI? FORMALNY element PRAWDY MOJEGO SĄDU „powiniennem ...” wystarcza – co prawda – zupełnie, aby dostrzec konieczność wyjścia z siebie dla uzyskania pełni swej identyczności: samospełnienia. Konieczność ta jawi się bowiem jako sprawa wierności prawdzie proklamowanej przez siebie samego sądu, a więc w końcu jako sprawa wierności „ja” swemu „ja”. Ale ten formalny element nie jest do końca zrozumiały inaczej, jak tylko przez pełne ujawnienie tego, CZEGO ta prawda dotyczy. Dlatego właśnie nasze pytanie: Czego ostatecznie dotyczy, do czego odnosi się w swym ostatecznym zaadresowaniu mój sąd „powiniennem ...”?

W stosunku do tego pytania trzeba jednak od razu postawić kolejne pytanie: Czy tu już czegoś nie przesądzono samym sposobem stawiania pytań? Czy jest to sąd o CZYMŚ? Czy nie o KIMŚ? Czy dotyczy w pierwszym rzędzie CZEGOŚ, a nie KOGOŚ? Nie sposób przeprowadzać tutaj bardziej drobiazgowej analizy. Może ona tu nawet zbędna, jak w zasadzie jest zbędna wszędzie tam, gdzie rozmówcy spotykają się z sobą na bazie tego samego doświadczenia i z jego pozycji nie tyle odkrywają, ile tylko raz jeszcze przyglądają się swemu wspólnemu „dobremu znajomemu”. Otóż chyba dla nikogo nie ulega wątpliwości, że obiektem właściwym sądu „powiniennem ...”, jego ADRESATEM, przede wszystkim zaś POWODEM jego ukonstytuowania przez „ja” jest koniec końców OSOBA. PRAWDA O NIEJ JEST DUSZĄ TEGO sądu. Stwierdza on pod taką czy inną szczegółową, konkretną postacią, w taki lub inny sposób, koniec końców, że właśnie OSOBIE JAKO OSOBIE – czyli dla przysługującej jej godności – NALEŻNA JEST AFIRMACJA. Ta afirmacja to inne imię miłości.

Nie ulega wątpliwości, że prawdę o osobie zna każdy najlepiej z WŁASNEGO DOŚWIADCZENIA, tj. z bezpośredniego obcowania z tą osobą, którą sam każdy jest, ze swym „ja”. Czyż bowiem fakt, iż nie umielibyśmy rozpoznać powinności moralnej – komukolwiek by ona od nas nie przysługiwała – INACZEJ JAK TYLKO w ramach i na forum WŁASNEGO SĄDU „powiniennem ...”, NIE UJAWNIA RÓWNOCZEŚNIE – jeśli nie w pierwszym rzędzie – ODKRYCIA swego własnego „ja” jako SAMORZĄDNEGO PODMIOTU, któremu JAKO TAKIEMU NALEŻNY JEST respekt od... siebie samego, czyli uznanie dla jego samozależności jako samozależności w samouzależnianiu się od prawdy swych własnych sądów, czyli w końcu RESPEKT

DLA JEGO WOLNOŚCI I RACJONALNOŚCI? Czyż zatem odkrycie samorządnej podmiotowości swego „ja” – idące tak nierozłącznie w parze z odkryciem moralnej powinności i wyrażeniem jej sądem „powiniennem ...” – NIE JEST WSPÓŁDKRYCIEM SAMORZĄDNEJ PODMIOTOWOŚCI KAŻDEGO INNEGO „JA” i jedną z najnormalniejszych dróg poznania i uznania, że wszystko to, co jest należne własnemu „ja” JAKO samorządnemu podmiotowi, należne jest każdemu drugiemu „ja” NA TEJ SAMEJ ZASADZIE. Na jakiej zasadzie? Na tej właśnie, że jest TAKŻE „JA”, tyle że innym „ja”, INNYM SAMORZĄDNYM PODMIOTEM. W świetle tego doświadczenia inni ludzie NIE SĄ WCAŁE – I NIE JAWIĄ SIĘ – LI TYLKO JAKO „NIE -JA”, LECZ SĄ PO PROSTU DRUGIMI, INNYMI „ja”. I tak tylko się jawią. „Ja” nie jest jedynym „ja” POŚRÓD reszty świata. „Ja” jestem „ja” POŚRÓD INNYCH „JA”, JESTEM SAMORZĄDNYM PODMIOTEM WŚRÓD INNYCH SAMORZĄDNYCH PODMIOTÓW, OSOBĄ WŚRÓD OSÓB..., osobą w świecie osób. Własna niewchłaniałość „ja” w resztę ujawnia niewchłaniałość każdego innego „ja” w resztę. Jest drogą ujawnienia, kim jest i moje, i każde inne „ja” WŚRÓD INNYCH „JA”. Przez to samo już samo-ujawnienie „ja” jako „ja” pośród innych „ja” jest też DROGĄ UJAWNIEŃ, CZYM JEST – a czym nie jest i być nie może – WSPÓLNOTA OSÓB, o ile ma w ogóle zasługiwać na miano wspólnoty OSÓB. Rangę WSPÓLNOTY OSÓB chroni to tylko, co chroni rangę każdej z POSZCZEGÓLNA OSOBY. Odkrycie to stanowi podwalinę SPOŁECZNEGO MYŚLENIA ... Społeczność godząca się na negację kogokolwiek spośród siebie godzi w siebie. „Śmierć każdego człowieka umniejsza mnie... Dlatego nie pytaj, komu bije dzwon! Bije on tobie...” (E.Hemingway).

Otóż dokładnie to samo odkrycie samego siebie jako kogoś, KOMU NALEŻNA JEST – w imię prawdy o jego samorządnej podmiotowości! – AFIRMACJA DLA NIEGO SAMEGO, jest zbieżne z współodkryciem powinności afirmowania „drugiego «ja»” oraz sposobu i miary afirmowania każdego „drugiego «ja»”. Czyż może to być sposób inny niż ten właśnie: JAK SIEBIE SAMEGO!? I inna miara aniżeli integralna prawda o „ja”, o tym wszystkim, bez czego ludzkie „ja” nie byłoby sobą i bez czego nie mogłoby w ogóle zaistnieć i istnieć? Paradoxem jest, że w tym wypadku „jak siebie samego” bynajmniej nie znaczy i znaczyć nie może „dla SIEBIE samego” czy też „z powodu samego SIEBIE”, lecz dokładnie tego przeciwieństwo: „DLA NIEGO SAMEGO”!

Owo „dla niego samego” wskazuje w szczególności na niezależność powinności afirmowania drugich od takiego warunku jak jakakolwiek forma OPLACALNOŚCI odnośnego działania dla działającego podmiotu nie wyłączając... SAMOSPEŁNIENIA! Godność osoby czy osób, osoby-adresata czy osób -adresatów działania, prawda o ich samorządnej podmiotowości stanowi więc to wszystko – i jawi się jako wszystko – czego TRZEBA, i co zarazem WYSTARCZA, dla istnienia – i dla stwierdzenia w sądzie jako w akcie promulgacji prawdy – obiektywnej powinności ich afirmowania. Dlatego właśnie powinność afirmowania osoby

jawi się w polu doświadczenia jako zasadniczo NIEZALEŻNA od jakiegokolwiek dalszego WARUNKU czy WZGLĘDU poza tym jednym, że osoba jest osobą – stąd BEZWARUNKOWY czy BEZWGLĘDNY charakter tej POWINNOŚCI: zaś akt afirmacji osoby przez osobę dokonany w imię prawdy o jej godności jaśniej ową BEZINTERESOWNOŚCIĄ, która nadaje mu blasku swoiście MORALNEJ WARTOŚCI, zacności czy szlachectwa, zwanych również GODZIWOŚCIĄ. W staropolskim słowie „godziwość” wyczuwamy wyraźnie związek moralnego dobra czynu z afirmacją godności osoby. Tylko tak na osobę zorientowany czyn, że sama jej godność starcza działającemu, by go podjąć, jest czynem godnym – tj. na miarę – osoby. Tej, WOBEC KTÓREJ się go dokonuje, i tej, KTÓRA go dokonuje.

Oto także w końcu powód, dla którego wiekowa tradycja usiłowała niestrudzenie rezerwować słowo „miłość” dla tego rodzaju bezinteresownych aktów i ciągle go na nowo w imię tej bezinteresowności rehabilitować, aby móc mu w ten sposób niejako zapewnić miejsce pośród najpiękniejszych słów w języku ludzkim. Czy dopiero Sofokles swą *Antygoną* tradycję tę zapoczątkował? „Urodziłam się, by współ-miłować...” Wydaje się, że ją – zastawszy – potwierdził tylko i utrwalił. Wiemy skądinąd, że nowością „nowego przykazania” Jezusa Chrystusa jest nie przykazanie miłości jako takie, lecz tylko jego nowa wykładnia, wykładnia mogąca zresztą szokować poprzez owo „TAK, JAK JA WAS”! (J 13,34). Mimo to jest to tylko nowa wykładnia przykazania, które „nie jest przykazaniem nowym, lecz przykazaniem starym, które posiadacie od początku” (1 J 2,7).

Tak oto dochodzimy do sedna sprawy człowieka i sedna jego odpowiedzialności: miłość staje wobec człowieka nie tylko jako coś, co winien jest każdemu drugiemu „ja” z racji jego godności, jako sprawa należąca każdemu „ja” – od każdego „ja” – „odpowiedzi”. Miłość w tej postaci staje wobec człowieka równocześnie, tj. zawsze i tylko, jako sprawa afirmowania swych własnych sądów „powiniem ...”, czyli spełnienia swych własnych autoimperatywów, a więc jako sprawa respektowania godności samego siebie i wierności samemu sobie, a więc koniec końców jako sprawa samospełnienia. Nie ma odpowiedzialności za siebie bez odpowiedzialności za drugich. Oto sedno sprawy człowieka. Współ-odpowiedzialność, uczestnictwo w sprawie samospełnienia się innych „ja”, solidarność z drugimi w tym, co rozstrzyga o sednie ich losu człowieczego, wyznacza od samego wnętrza kształt odpowiedzialności za swój los. Człowiek jest „skazany” na samospełnienie przez wolny wybór solidarności z drugimi. Danie odpowiedzi drugiemu w akcie afirmowania go dla niego samego okazuje się aktem samospełnienia. Ostateczna samoidentyfikacja „ja” jako „ja”, człowieka jako samorzędnego podmiotu, to odkrywanie siebie samego jako kogoś, kto został wezwany – mocą samozwiązania się odkrytą przez siebie prawdą o osobie – do afirmacji każdej innej osoby, czyli do miłości. „Ja” to

samozależność wezwana samowezwaniem (prawdy swych sądów o godności każdej osoby) do komunii z drugim „ja”. Inaczej samozależność człowieka, tak jak ją widzimy poprzez dany nam na forum sumienia sąd „powiniemem ...”, musiałaby poprzestać być tym, czym jest: samozależnością „ja” w samouzależnieniu się od prawdy swych sądów. Odrzucić ten obraz człowieka można by tylko wraz z odrzuceniem „okna”, które go nam takim właśnie pokazuje. Czy możemy sobie jednak pozwolić na zlekceważenie takiej realności, jaką jest sumienie bez zlekceważenia „sprawy człowieka”?⁴

Ale oto „sprawy człowieka” słowo ostatnie. Jeżeli bez wezwania do miłości – „powiniemem ...” z forum sumienia to „powiniemem afirmować każde «ja» dla niego samego” – nie można w ogóle zidentyfikować człowieka, to w takim razie bez SPEŁNIENIA TEGO WEZWANIA CZŁOWIEK, ktoś, kto JEST jako wezwany, NIE UZYSKAŁBY PISANEJ MU – przez to właśnie wezwanie! – PEŁNI, nie uzyskałby *in re* właściwej mu tożsamości. Dlatego odpowiedzialność jako CZYNNIE zaangażowanie się po stronie drugich okazuje się nierozzerwalnie związana z efektywnie sprawowaną odpowiedzialnością za samego siebie i to na zasadzie warunku *sine qua non*. Własny los człowieka, jego sukces bądź klęska, został związany z czynną postawą wobec drugich. Aktywne WSPÓŁCZESTNICTWO w sprawie samospełniania się „innych «ja»”, kształtowanie postawy wspólnotowej, komunijnej, postawy odpowiedzialności za drugich właśnie, okazuje się dla „ja” – dla którego świat innych „ja” jest jedynym dlań realnym światem – JEDYNYM SPOSOBEM SAMOSPEŁNIENIA, sposobem dania sobie tej „ostatecznej odpowiedzi”, bez której dzieło szukania własnej tożsamości musiałoby pozostać nie tylko czymś nie dokończonym, ale skazanym na samozagładę w ścisłym tego słowa znaczeniu. PRZECIWIĘSTWEM SAMOSPEŁNIENIA nie może być bowiem jedynie BRAK SAMOSPEŁNIENIA, odkąd wybór musi się dokonywać zawsze pośród „tak” albo „nie” dla prawdy o osobie. Przeciwiństwem tym może być tylko ANTYSPEŁNIENIE: samorozłam „ja”⁵.

SAMOSPEŁNIENIE JAWI SIĘ ZATEM JAKO KONIECZNY EFEKT AKTU MIŁOŚCI, SKUTEK PRO-KOMUNIJNEJ POSTAWY. Dodajmy jednak, że samospełnienie jest KONIECZNYM, chociaż NIE ZAMIERZONYM wprost, skutkiem aktu – lub postawy – miłości. Tym bowiem, co rozstrzyga o postawie miłości, jest zorientowanie postawy w stronę godności afirmowanego. Tym, co miłujący zamierza wprost, gdy działa wobec drugich, jest i może być tylko AFIRMOWANIE ICH DLA NICH SAMYCH, TROSKA O

⁴ Por. K. Wojtyła. *Znak, któremu sprzeciwiać się będą. Rekolekcje w Watykanie*. Poznań–Warszawa 1976; (*Zeichen des Widerspruchs*. Freiburg in. Br. 1979; *Segno di contraddizione. Vita e Pensiero*. Milano 1977; *Le signe de contradiction*. Paris 1979).

⁵ Por. K. Wojtyła. *Osoba i czyn* s. 162; por. też: T. Styczeń. *Sumienie: źródło wolności czy zniewolenia?*. „Zeszyty Naukowe KUL” 22:1979 nr 1-3 s. 87-97.

STWARZANIE IM WARUNKÓW NIEZBĘDNYCH I SPRZYJAJĄCYCH DLA ICH SAMOSPEŁNIENIA. Wtedy dopiero miłość jest miłością, wtedy też tylko owocuje tym, czym tylko ona dla miłującego owocuje: samospełnieniem. Związek ten jest nieodwracalny. Próba naruszenia tego porządku w imię samospełnienia, taka chęć „użycia” miłości czy „posłużenia” się miłością jest zresztą z istoty swej niemożliwa. Oznaczałaby w pierwszym rzędzie manipulowanie drugimi czyli... przekreślenie miłości. A wraz z tym zaprzepaszczenie jej owocu. Byłaby więc także zamknięciem sobie tym samym jedynej drogi, która prowadzi do samospełnienia. Chcieć afirmować osobę drugiego ze względu na coś innego niż ona sama to wcale jej nie afirmować, to przekreślać prawdę o jej godności. I przez to pozbawiać siebie tego, co może być jej jedynie owocem: samospełnienia. Człowiek spełnia się ZAWSZE, gdy miłuje. Chcieć jednakże afirmować osobę drugiego tylko dla swego własnego samospełnienia to sprzeniewierzyć się godności drugiego, przekreślać miłość, a w każdym razie rozmijać się ewidentnie z jej szlakiem w działaniu. Ale przez to też zniszczyć most na drodze do samospełnienia. Zniszczyć sobie jedyną szansę. Oto dlaczego nie może nie zdumiewać swą celnością powiedzenie na wstępie już przypomniane. „Tylko ten zachowa swe życie, kto je straci dla mnie”! (por. Mt 10,39; 16,25; Mk 8,35; Łk 9,24; 17,33) Trudno zwięźlej chyba wyrazić to, w czym widzę także końcową odpowiedź na pytanie o stosunek odpowiedzialności za drugich do odpowiedzialności za samego siebie, pytanie ukryte w tytule niniejszej refleksji. Oto jej teza końcowa: Pomędzy odpowiedzialnością za siebie i odpowiedzialnością za drugich istnieje tak ścisła więź wewnętrzna, iż niepodobieństwem jest urzeczywistnianie pierwszej inaczej, jak tylko poprzez urzeczywistnianie drugiej. SZANSE SAMOSPEŁNIENIA DAJE SOBIE TYLKO TEN, KTO JĄ OFERUJE INNYM. Wiąże się to zaś, jak starano się pokazać, z samą komunią, wspólnotową strukturą ludzkiego „ja”. „Ja”, które „konstytuuje” samo siebie jako samowezwanie do afirmacji należnej każdemu „ja” z tytułu należnej mu godności, może osiągnąć pełnię swej tożsamości jedynie w aktach spełniania tego samowezwania. Znaczy to innymi słowy, że „ja” pełnię swej identyczności osiąga w aktach efektywnie wyrażających postawę SOLIDARNOŚCI Z KAŻDYM DRUGIM Z OSOBNA I WSZYSTKIMI ŁĄCZNIE NA BAZIE PRAWDY O ICH OSOBOWEJ GODNOŚCI. Postawę tę nazwać można również postawą UCZESTNICTWA w człowieczeństwie drugich lub po prostu postawą MIŁOŚCI BLIŹNIEGO⁶. Skoro zaś człowiek spełnia (s-pełnia) się jako człowiek jedynie poprzez miłość, można też – a nawet trzeba – powiedzieć, że „pozostaje dla siebie istotą niezrozumiałą, a jego życie pozbawione sensu, jeśli

⁶ Por. K. W o j t y ł a. *Osoba: podmiot i wspólnota*. „Roczniki Filozoficzne” 24:1976 z. 2 s. 28 (niem. w: K. K a r d i n a l W o j t y ł a, A. S z o s t e k, T. S t y c z e Ń. *Der Streit um den Menschen. Personalener Anspruch des Sittlichen*. Kevelaer 1979 s. 47).

nie spotka się z Miłością, jeśli jej nie dotknie i nie uczyni w jakiś sposób swoją, jeśli nie znajdzie w niej żywego uczestnictwa” (RH II, 10).

6. *Sumienie a dialog filozoficzny*

Szansę samospełnienia daje sobie tylko ten, kto oferuje ją innym. KTÓRYM INNYM? Pytanie to – retoryczne w tym miejscu – postawiliśmy już jednak z rozmysłem. Jest bowiem dobrym „testem”. Chodzi o to, że w świetle tego pytania ujawnia się właśnie cały absurd jego stawiania. Oczywiście, absurd ten wychodzi w całej ostrości na jaw dopiero na tle doświadczenia, któremu dawaliśmy dotąd wspólny – i wspólnie – wyraz.

Pytanie takie BYWA jednak stawiane. Najczęściej NIE WPROST, mianowicie poprzez samo dopuszczenie możliwości szukania na nie odpowiedzi. I kiedy się już raz dopuści ukryte bodaj jego postawienie, padają też propozycje kryteriów, „wyróżniania” pewnych „ja” wśród pozostałych „ja”. Znamy aż nazbyt te kryteria, kryteria-mity nie tylko XX w. Wymyślone poza Polską były na jej żywym organizmie już dwakroć wypróbowane w ciągu jej najnowszej historii. Są to kryteria RASY, kryteria KLASY, znamy inne jeszcze kryteria... Ostatnio wpisano na ich listę kryterium WIEKU... Rzecz znamienita – ci, którzy te kryteria stawiają, rzadko znajdują odwagę Nietzschego, by otwarcie wskazywać klasę „nadludzi” wśród ludzi lub „podludzi”. Mówią raczej o „prawdziwym” człowieku lub „prawdziwych” ludziach bądź usiłują wskazać granicę (np. czasu, wieku), do której ktoś JESZCZE NIE JEST (płód ludzki) lub od której ktoś JUŻ NIE JEST człowiekiem. Niekiedy chcą powierzyć rozstrzygnięcie tej sprawy plebiscytowi...

W świetle doświadczenia, któremu dajemy wspólny wyraz, jest tylko jedno kryterium, które wolno brać w rachubę. Jest nim inne „ja”, drugie „ja”, i to z tego samego tytułu – i dlatego też NA RÓWNI – co własne „ja”. Z tytułu jego osobowej godności wyrażającej się najdobitniej w samorządnej podmiotowości. Granice odpowiedzialności moralnej są więc granicami świata osób. W świecie widzialnym są to granice rodziny człowieczej. One zatem wykreślają moralny zasięg międzyludzkiej solidarności. Jakakolwiek próba zawężenia granic ludzkiej *communio personarum* rzuca nieuchronnie skazę na odpowiedzialność za swe własne „ja”. Wspomniane ideologie usiłują przecieżyć na różne sposoby dokonać czegoś obiektywnie niemożliwego i moralnie absolutnie niedopuszczalnego: wykreślać inaczej te granice. Nie negując niekiedy otwarcie kryterium „inne «ja»”, chcą sobie rezerwować z góry niejako „prawo do wroga”, rasowego czy klasowego, w stosunku do którego staje się – w wyniku przeprowadzonej operacji na zakresie osób – *EX DEFINITIONE* USPRAWIEDLIWIONE STOSOWANIE

ŚRODKÓW PRZEMOCY, jak DYKTATURA, REWOLUCJA czy WALKA (nie będąca przy tym wcale obroną, lecz atakiem, który ma „ZLIKWIDOWAĆ KLASĘ ANTAGONISTYCZNĄ”, złożoną w końcu przecież z jakichś... ludzi). Ideologie te chętnie zresztą określają się również mianem FILOZOFII. I tak np. marksizm, którego częścią integralną jest ideologia walki klas i dyktatura proletariatu, bywa nazywany przez marksistów filozofią, a marksiści, którzy sami nazywają niekiedy swój system również ideologią, niechętnie lub nawet wcale nie nazywają siebie już ideologami walki klas, lecz filozofami marksistowskimi.

Chciałbym tu raz jeszcze przypomnieć to, co podkreśliłem na wstępie tych rozważań. Nie trzeba być filozofem, reprezentantem określonego systemu filozoficznego, by dostrzec i uznać, że każdy inny człowiek dokoła mnie to po prostu drugi „ja”, inny „ja”, nie zaś „nie-ja”. To teza nie jakiejś filozofii dopiero czy wyznania religijnego. To oczywistość ELEMENTARNEGO DOŚWIADCZENIA CZŁOWIEKA w człowieku, sprawa WIDZENIA elementarnej prawdy o nim. Nie taję jednak osobistego przeświadczenia – w czym zresztą spotykam się zapewne z obecnym tu gronem – że jeżeli w ogóle cokolwiek może pretendować do tytułu filozofii, rozumianej zgodnie z szacowną tradycją jako MIŁOŚĆ PRAWDY, to przede wszystkim – jeśli nie wyłącznie – taka filozofia, która się LICZY Z TĄ ELEMENTARNIE PROSTĄ I WAŻNĄ DOŚWIADCZALNĄ PRAWDĄ O CZŁOWIEKU, filozofia, która staje się ŚWIADCZENIEM tej elementarnej prawdy o „inaczej” i „wyżej” człowieka w świecie widzialnym, stając przez to w SŁUŻBIE JEGO GODNOŚCI, w SŁUŻBIE JEGO SAMORZĄDNEJ PODMIOTOWOŚCI. Stosunek do tej sprawy staje się wręcz kamieniem probierczym, odróżniającym autentyczną filozofię od pseudofilozofii, która uzurpuje sobie miano filozofii. Staje się też „testem prawdy”, pozwalającym odróżnić filozofa-świadka człowieka od ideologa dyktatury, ideologa usiłującego usprawiedliwić stosowanie przemocy człowieka nad człowiekiem. Chodzi tu o sprawę człowieka i o jej społecznie tak doniosłą wagę, że całkowita jednoznaczność w tej sprawie wydaje się dziś wręcz imperatywem, zwłaszcza w aktualnej chwili. Trudno nie poruszać tej sprawy, chcąc odpowiedzialnie mówić dzisiaj o odpowiedzialności w wymiarze społecznym. Sprawa samorządnej podmiotowości każdego bez wyjątku człowieka jest PRAWDĄ o człowieku zbyt ELEMENTARNĄ, by MOŻNA było jej NIE ZAUWAŻYĆ, i prawdą o człowieku nazbyt WAŻNĄ, by WOLNO było ją lekceważyć. I uznać za filozofię, za miłość prawdy i służbę prawdzie, ideologię, która tę elementarnie oczywistą i fundamentalnie ważną prawdę o człowieku pozwala sobie ignorować bądź nią manipulować. By wreszcie wolno było z elementarnej uczciwości wobec partnera rozmowy nie przestrzec i partnera, i społeczeństwa, w imię odpowiedzialności, że NIE MOŻNA I NIE WOLNO bez nadużycia słowa „dialog filozoficzny” określać tym mianem dyskusji, w której jedna ze stron nie dała przekonujących gestów, że stała się jej obca wyznawana dotąd – i praktykowana niekiedy przez lata całe –

ideologia i strategia przemocy i manipulacji. Nie chodzi o to, by kontaktów unikać. Chodzi jednak o to, by jasno widzieć i określać, jaki one mają – i mogą mieć – charakter. Z racji społecznej odpowiedzialności trzeba dbać, BY KONTAKTY TE BYŁY JEDNOZNACZNE I BY MOGŁY BYĆ PRZEZ WSZYSTKICH JEDNOZNACZNIE ODCZYTYWANE. Trzeba, jak przypomina C. K. Norwid, aby „każdej rzeczy nadać odpowiednie słowo”. Filozof, który godzi się na to, by stać się w tym względzie ofiarą manipulacji, staje się winny wprowadzenia w błąd społeczeństwa, które ma prawo do jednoznaczności, zwłaszcza w sytuacji, gdy tyle już razy nadużywano tego zaufania.

PRAWDA I WOLNOŚĆ to jakby przestrzeń wewnętrzna i zarazem skrzydła, które UNOSZĄ – i na których SIĘ UNOSI i utrzymuje na poziomie swej godności – osobowy podmiot ludzki. Bez tego nie byłby tym, kim jest: samozależnością w samouzależnianiu się od prawdy swych sądów. W imię zatem odpowiedzialności za osobowe „ja”, w imię „tak” dla jego podmiotowości, nie wolno nie powiedzieć „nie” temu wszystkiemu, co w nią bądź w teorii godzi, bądź ją w praktyce przekreśla. W imię „tak” dla osoby nie wolno w szczególności nie powiedzieć „nie” wszelkim faktycznym praktykom ZAKŁAMANIA i utrwalonej przez tę praktykę strukturalnej PRZEMOCY. W imię „tak” dla człowieka trzeba powiedzieć „nie” przede wszystkim jednak wszelkim TEORETYCZNYM PRÓBOM USPRAWIEDLIWIENIA przemocy. I to właśnie z pozycji elementarnego doświadczenia człowieka, nie dopiero z pozycji jakiegoś systemu filozoficznego. Wszak o wartości poznawczej oraz o jakiegokolwiek prawomocności moralnej i przydatności społecznej danego systemu decyduje w pierwszym rzędzie to, czy respektuje on fundamentalnie oczywistą prawdę o godności człowieka. Bez tego dyskwalifikuje się poznawczo i moralnie. Ale wtedy obowiązkiem filozofa wobec społeczeństwa jest ujawniać taki właśnie charakter danego systemu. Z tego punktu widzenia trzeba przede wszystkim spojrzeć na wszelkie ideologie usprawiedliwiające programowo przemoc. I programowo utrudniające jakąkolwiek działalność filozofa, który w imię świadectwa o godności człowieka usiłuje demaskować anty-humanistyczny charakter wspomnianej tu ideologii. Nie jest przy tym tu wcale istotne, o CZYJĄ przemoc NAD KIM chodzi, KOGO dyktaturę nad kim, czy np. ma to być dyktatura proletariatu nad nieproletariatem. Chodzi w ogóle o samą próbę teoretycznego usprawiedliwienia ZASADY DYKTATURY KOGOKOLWIEK NAD KIMKOLWIEK. Samo bowiem już dopuszczenie takiego stawiania sprawy urąga prawdzie o godności człowieka i uderza przez to w same podstawy moralnych odniesień międzyludzkich.

Wreszcie nie wolno nie przestrzec, że idea dyktatury kogoś nad kimś raz przyjęta i dopuszczona JAKO ZASADA działania otwiera na oścież drogę do niekontrolowanej już swobody manipulowania zakresem „sojusznik–wróg” aż do całkowitej zmiany ról przyznanych im w punkcie wyjścia. Czy najkrótsza diag-

noza wydarzenia, a właściwie narastającego od dziesięcioleci procesu, który osiągnął swe apogeum w polskim sierpniu 1980 r., nie sprowadza się do rozpaczliwego wysiłku zrzucenia przez klasę robotniczą jarzma dyktatury, którą włożono na nią w imię dyktatury klasy robotniczej? Czy nie jest to jedynie końcowe ogniwo w łańcuchu, na którego początku ktoś uznał, a za nim inni bezkrytycznie przejęli – przy niepojętej wręcz oporności i głuchocie na rozpaczliwy krzyk krytyki społecznej i ciągłych protestów – doktrynę dyktatury jednych nad drugimi za usprawiedliwioną? Dyktatura pożera swe własne dzieci...

Uwaga końcowa i pytanie: Czy robotnicy polscy z godną najwyższej uwagi chyba nie tylko w Polsce – bo okupioną latami bolesnej weryfikacji – trafnością nie wyczuli i nie pokazali, że tym, co najgłębiej i – co nie mniej ważne! – jedynie skutecznie chroni także ich własne interesy, czyli zabezpiecza ich JAKO ROBOTNIKÓW, nie jest to tylko, co broni i zabezpiecza ich ludzką PODMIOTOWOŚĆ: ICH OSOBOWĄ GODNOŚĆ? Dlaczego duszą niemal każdego z postulatów robotników z Gdańska, Szczecina, Jastrzębia czy Radomia była PRAWDA I WOLNOŚĆ? Dlaczego właśnie oni – mając dość powodów, by dopominać się przede wszystkim o poprawę ich materialnego bytu – demaskowali przede wszystkim antyludzki charakter fałszowania prawdy. Jakiemuż doświadczeniu dano tu tak jednoznacznie czytelne świadectwo? Czy da się bardziej jeszcze demonstratywnie pokazać, iż człowieka jako człowieka jedynie prawda wyzwala?

Wymowa doświadczenia polskiego dni sierpniowych 1980 r., owego zbiorowego doświadczenia społecznego bez precedensu, nie potrzebuje komentarza ani wykładni. Stała się żywym świadectwem tego, co trzeba przede wszystkim zabezpieczyć w człowieku, by skutecznie zostały zabezpieczone wszelkie inne jego sprawy i potrzeby. Stała się świadectwem zranionej do głębi godności człowieka, a wobec świata lekcją pokazową działania z poczucia odpowiedzialności za prawdę o swej godności i zarazem o tym, jak bardzo odpowiedzialność za siebie związana jest z uniwersalną solidarnością: z odpowiedzialnością każdego za każdego, wszystkich za wszystkich, za społeczeństwo, naród, owszem, za całą rodzinę człowieczą. Była to lekcja odpowiedzialności za godność całej rodziny ludzkiej i w jej obliczu, lekcja, z której mogą się chyba nauczyć również ci, którzy odważyli się określać siebie mianem filozofów: miłośników prawdy? Czy nimi naprawdę jesteśmy? Czy tylko się nam wydaje, że nimi jesteśmy? Warto się przeegzaminować w świetle sierpniowego „testu prawdy”.

MAN IN THE FIELD OF RESPONSIBILITY FOR HIMSELF AND FOR OTHERS

S u m m a r y

The paper presents an attempt to construe ethics as normative anthropology on the basis of the experience of moral obligation as it is expressed in the judgement: „I should perform this act” which is described at times as „the voice of conscience”. An analysis of the structure of that judgement reveals the structure of man as a subject commensurate (in the phenomenological and metaphysical sense) with its passing. An essential thing for the outcome of such an analysis is the assertion that the subject of the judgement „I should ...” reveals the matter of the realization of his „I” as a task for himself towards himself. His fulfillment is conditioned by the decision to affirm every other „I”. The choice to be with others in a fellowship (without excluding anyone) becomes for „I” a necessary condition of self fulfillment (of gaining one’s own identity).

Translated by Jan Kłós